

Waldemar Chrostowski

"Zwoje znad Morza Martwego.
Historia pewnego oszustwa", Michael
Baigent, Richard Leigh, Warszawa
1994 : [recenzja]

Collectanea Theologica 65/1, 198-201

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Czytelnika ogarnia zdumienie wobec tak szerokiej syntezy i równocześnie znajomości szczegółowych kwestii.

ks. Julian Warzecha SAC, Ołtarzew

Michael BAIGENT - Richard LEIGH, *Zwoje znad Morza Martwego. Historia pewnego oszustwa*, przeł. Marek Fedyszak, Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1994, ss. 383.

Kilkakrotnie zabierałem się do przeczytania tej książki i kilkakrotnie ją odkładałem. Żadna z lektur, po jakie ostatnio sięgnąłem - nawet osławione *Nie i Amen* U. R a n k e H e i n e m a n (rec. w „Nowe Książki” 12/1994, s. 54-55) - nie nastreczała tylu i aż takich trudności. Dobnąłem do końca dlatego, by nie napisać gorzkich słów o czymś, czego w całości nie znam. Żadnej innej racji, która by usprawiedliwiała ten wysiłek, nie było. Książka bowiem nie zasługuje na czytanie z powodu nagromadzonej w niej gigantycznej liczby głupstw i insynuacji, które z uprawianiem nauki nie mają nic wspólnego.

Autorzy to dwaj amerykańscy dziennikarze, którzy zdali się całkowicie, a nawet sami obficie zapładniali wyobraźnię niejakiego Roberta E i s e n m a n a. Ten ostatni napisał dotąd dwie, chłodno przyjęte przez fachowców książki (*Maccabees, Zadokites, Christians and Qumran*, Leiden 1983 oraz *James the Just in the Habakuk Pesher*, Leiden 1986) i kilka artykułów, których naukowa wartość jest mierna. W recenzowanej książce został jednak obwołany „specjalistą” w dziedzinie historii Palestyny i prawa kanonicznego (*sic!*). Pełni funkcję kierownika administracyjnego i wykładowcy religii Bliskiego Wschodu na Uniwersytecie Stanowym Kalifornii w Long Beach. Wykładał gościnnie w dwóch kolegiach w Wielkiej Brytanii. Jego rozmówcy są nim i jego kwalifikacjami oczarowani. Nie szczędzą komplementów pisząc, że jego „renoma i wiarygodność plasują go w gronie najwybitniejszych i najbardziej wpływowych postaci w jego specjalności” (s. 22). Powody tego aplauzu nie trudno ustalić. Obydwu dziennikarzy i ich informatora łączy jedno: silna, nieukrywana antychrześcijańskość, a szczególnie antykatolickość. W gruncie rzeczy wcale nie chodzi o zwoje znad Morza Martwego! Idzie o to, aby powołując się na nie, zaatakować Kościół, wykipić go i oszkalować, zohydzić jako wroga nauki i naukowców, jako uzurpatora i oszusta zwodzącego swoje owieczki. Całość przedsięwzięcia była - chyba nader hojnie - sponsorowana. Autorzy wyznają, że niejaki Rod Collins zadbał o „zasobność naszych portfeli i zapewnił nam spokój ducha” (s. 9).

Wywody z prawie 400 stron można bez większego trudu streścić na jednej. Badania zwojów znad Morza Martwego podjęli - obok uczonych żydowskich - uczeni katolicy. Już to samo przemawia na niekorzyść osiągniętych przez nich wyników, bo wierzą w Jezusa jako Boga i człowieka. Tymczasem między człowiekiem-Jezusem a Bogiem-Chrytusem istnieje sprzeczność. Ponadto „każdy

uczony wie, że na Ewangeliach jako dokumentach i świadectwach historycznych nie można w ogóle polegać” (s. 13). Sytuację uczonych katolickich definitywnie pogrzyżył fakt związania się z dominikańską Szkołą Biblijną i Archeologiczną w Jerozolimie, założoną u schyłku XIX w. przez o. J. L a g r a n g e’a OP i zaaprobowaną przez Watykan. Takie instytucje to kontynuacja Inkwizycji, co uniemożliwia bezstronność badań naukowych. Grono katolików, inspirowanych przez Watykan, położyło łapę na tekstach z Qumran i prawdziwe autorytety nie mają do nich dostępu. Kierowany przez o. R. d e V a u x OP międzynarodowy zespół badaczy to klika, „katolickie konklawe”, działająca na zamówienie Watykanu, która celowo utajniła dokumenty, bo podważają wyjątkowość Jezusa. Najczarniejszy był przełom lat 60. i 70. „Wszystkich, którzy mogliby stanowić jakieś zagrożenie, strachem skłaniano do uległości” (s. 124). Powszechny pogląd, nazywany „consensusem”, że Qumran zamieszkiwała wspólnota esseńczyków i to jej zawdzięczamy odnalezione rękopisy, jest świadomym fałszem wymyślonym przez Watykan. Tenże Watykan pilnie strzeże niewydanych jeszcze tekstów, o których wiadomo, że zmieniają - choć nikt poza wtajemniczonymi ich nie widział - poglądy co do początków i natury Kościoła. Rękopisy są późniejsze aniżeli twierdzą paleografowie i należały do zelotów, którzy mieszkali w Qumran. Wśród tych zelotów byli również pierwsi chrześcijanie. Qumrański „Nauczyciel Sprawiedliwości” to nikt inny jak Jakub zwany Sprawiedliwym, brat Jezusa. „Kłamca” z Komentarza do Księgi Habakuka to Paweł, przedstawiany w Nowym Testamencie jako Apostoł pogan. Drugi adwersarz „Nauczyciela Sprawiedliwości”, nazywany „Złym Kapłanem”, to Annasz. Polemiki Jakuba z Pawłem przyspieszyły stworzenie nowej religii, znanej jako chrześcijaństwo. Tak więc „Komentarz Habakuka i część innych rękopisów znad Morza Martwego odnosi się do zdarzeń opisanych w Dziejach Apostolskich, przez Flawiusza i w dziełach chrześcijańskich historyków” (s. 306). Co do Pawła, „rzymskiego agenta” to „nawrócił się” pod Damaszkiem, ale to znaczy pod Qumran, bo wzmiankowany w Dziejach Apostolskich „Damaszek” to właśnie Qumran.

I to wszystko! Lecz autorzy i ich kalifornijski autorytet perfekcyjnie posługują się metodą *repetitio est mater studiorum*. Taktyka jest niewyszukana, ale skuteczna: zagadać czytelnika, przytłoczyć go rozmaitymi wiadomościami i skojarzeniami, powalić mnogością słów, zmieniać tematy, przytaczać nazwiska i instytucje. W ten sposób utrwała się insynuacje wiedząc, że w końcu można osiągnąć pożądaną cel: nawet jeżeli się czytelnika nie przekona, to powtarzanie tych samych rzeczy spowoduje, że zapomni wszystko poza nimi. Na kolejnych stronicach po wielokroć odnajdujemy więc to, co zostało powiedziane wcześniej, tak że lektura staje się nużąca. Czasami, aby dać przykład erudycji, pojawiają się różne nawiązania do współczesności. Jednak o kształcie wszystkiego decyduje „mistrz” Eisenman. Rozmówcy delektują się każdą jego złotą myślą, każdym pomysłem, każdą intuicją - nawet jeżeli przeczy to zasadom zdrowego rozsądku. Na

nic archeologia, paleografia czy studia biblijne! Rękopisy muszą pochodzić z I w. po Chr. Jeżeli fakty temu przeczą, tym gorzej dla faktów!

Te pseudonaukowe łamigłówniki są podporządkowane jednemu: atakowanie chrześcijaństwa, zwłaszcza w jego rzymsko-katolickiej odmianie. Najlepsi uczeni to ateści, bo ci nie mają żadnych uwarunkowań (czytaj: skrupułów). Eloquentny Eisenman miał swoich poprzedników. Byli to: E. W i l s o n, A. D u p o n t - S o m m e r i J. M. A l l e g r o. Przynajmniej jeden (A. D u p o n t - S o m m e r) zmienił poglądy. Inny (J. M. A l l e g r o) pisał piramidalne bzdury głosząc, że chrześcijaństwo to rezultat zbiorowej halucynacji grupy ludzi, którzy zatruli się grzybami. „W rezultacie chrześcijaństwo, podobnie jak wszystkie pozostałe religie, wyrastało z doświadczeń psychodelicznych, uroczystego *rite de passage*, szerzonego przez orgiastyczny kult magicznych grzybów” (s. 110). Ten „wielki uczoney” zmarł nagle w 1988 r., niezaakceptowany, ale „wciąż pełen optymizmu”. W antychrześcijańskim paszkwile firmowanym przez R. Eisenmana są to pełne uroku postacie, wielkoduszni bohaterowie, uczciwi obrońcy „jedynie słusznej sprawy”. Ich przeciwieństwem są katolickie „czarne charaktery”, których wiara religijna sprzeciwia się wiedzy naukowej. Za J.M. A l l e g r o autorzy utrzymują, że nie ma żadnych religijnych przekonań, są tylko religijne uprzedzenia. Odnosnie do początków chrześcijaństwa nie ma żadnego rozeznania, istnieje jedynie uzgodnione stanowisko wymyślone i czujnie strzeżone przez Watykan.

Książka osiągnęła na Zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech, wysokie - sięgające setek tysięcy egzemplarzy - nakłady. Była masowo reklamowana w prasie, radio i telewizji. Nawet w sklepiku przylegającym do wykopalisk w Qumran jest stale wyłożona na naczelnym miejscu i obok poważnych publikacji, co przydaje jej znamion naukowości. Ale wszystko to jest po prostu żałosne! Pokazuje bowiem, jak nauka może się stać obiektem bezwzględnych manipulacji, podporządkowanych robieniu ludziom wody z mózgu. Zainteresowanie Qumran i powaga studiów qumrańskich i qumranologii straciły wiele na skutek tej publikacji. Znamienne, że poważni uczeni nie znaleźli dość siły, aby wystarczająco głośno przeciwstawić się pseudonaukowym bzduram. Nabierano wody w usta hołdując zasadzie, że skoro biją katolików, to lepiej przeczekać batalię. Sami autorzy i ich informator nie wydali żadnego sprostowania po tym, jak w 1993 r. (oryginał ich książki został wydany dwa lata wcześniej) opublikowano wszystkie teksty odnalezione na Pustyni Judzkiej i stało się jasne, że nie zawierają niczego, co w jakikolwiek sposób potwierdzałoby karkołomne insynuacje.

Nic w tym dziwnego! Przecież od początku i tak nie chodziło o prawdę na temat Qumran. Na ironię zakrawa częstotliwość, z jaką w książce pojawiają się wartościowania moralne. Autorzy lubują się w moralizatorstwie i powołują na „problemy moralnej odpowiedzialności”. Gdyby jeszcze brali to sobie do serca! Konkluzja dla nas, mieszkających w długo indoktrynowanej przez komunistów Europie Środkowo-Wschodniej, jest bolesna: sowiecka propaganda, ateistyczna i antychrześcijańska, nadużywająca nauki dla wszystkich celów, wydaje się

kiepskim naśladownictwem podobnych tendencji w liberalnych środowiskach na Zachodzie. Teraz kiedy u nas ustała jedna, zaczęła się druga. Nie wiadomo, kto jest właścicielem wydawnictwa, w jakim ukazał się polski przekład. Poza personaliami tłumacza podano jedynie personalia redaktora - jest nim Barbara K a c z o r o w s k a. Polski przekład obfituje w błędy i śmieszne wyrażenia świadczące, że tłumacz powinien się jeszcze sporo nauczyć. Wydawca na ostatniej stronie paszkwilu napisał: „Strzeż się! Książki Da Capo to złodziejce czasu!” - Święta prawda!

ks. Waldemar Chrostowski, Warszawa

Anna M. KOMORNICKA, *Słownik zwrotów i aluzji biblijnych*, Archidiecezjalne Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1994, ss. 229.

Zasób frazeologii biblijnej obecnej w języku polskim jest dość dobrze rozpoznany dzięki pracom Antoniego Krasnowolskiego, Stanisława Szobera, Jana St. Bystronia czy Stanisława Skorupki. Są to jednak prace, które odwołują się do tekstów sprzed 1960 r. i nie dają wyobrażenia o losach zwrotów biblijnych w polszczyźnie końca XX wieku, a odwołując się do źródeł, nie uwzględniają nowych, posoborowych tłumaczeń Biblii, choćby najpopularniejszego którym jest Biblia Tysiąclecia.

Z tym większą uwagą należy przyjąć pozycję, która ukazała się latem 1994 roku. Jest nią *Słownik zwrotów i aluzji biblijnych* opracowany przez Annę M. K o m o r n i c k ą z Uniwersytetu Łódzkiego. Dzięki jej pasji zbierania czytelnik otrzymuje dokładne omówienia 118 zwrotów, na opracowanie czeka jeszcze ponad 200 haseł, których wykaz znalazł się na końcu książki. Można więc liczyć na dalsze tomy niezwykle pożytecznego źródła.

Samo hasło składa się ze zwrotu podstawowego, jego etymologii, cytatów z Biblii, komentarza, cytatów z literatury zarówno staro jak i nowożytnej, zwrotów pochodnych, wyobrażeń w sztuce. Przy tym ogromie włożonej pracy i oczywistej erudycji autorki zabrakło dla większej przejrzystości dzieła kilku drobiazgów. Przede wszystkim uporządkowania w obrębie hasła cytatów z Pisma Świętego według kolejności ksiąg, lub ograniczenia ich liczby do najważniejszych; przy hasle „na łonie Abrahama” tak oczywistego zwrotu jak „przenieść się na łono Abrahama”; przy „Judaszowych srebrnikach” powiedzenia „sprzedać kogoś za trzydzieści srebrników”, zaś zwrot „od Annasza do Kajfasza”: mógł zostać uzupełniony nieco starszym „wodzic od Piłata do Heroda”. W *Słowniku* autorka uwzględniła najnowsze polskie przekłady Pisma Świętego (wyd. 3 Biblii Tysiąclecia, oraz tzw. Biblię Poznańską), źródła greckie i łacińskie. Natomiast należy żałować, że Anna M. Komornicka nie sięgnęła (a przynajmniej brak takiej informacji) do najbardziej rozpowszechnionego do czasu Soboru Watykańskiego II polskiego przekładu Biblii księdza Jakuba Wujka, w którym odnajdziemy takie zwroty jak: „listek figowy”,